

Stanisław Sławomir Nicieja

POŚMIERTNE ŻYCIE MIAST PRZESIEDLONYCH

Przed 35 laty, po sukcesie wydawniczym moich książek *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie* i *Cmentarz Obrońców Lwowa* (Ossolineum 1988–1990), które ukazały się w nakładzie ponad 250 tysięcy egzemplarzy, otrzymałem z Maisons-Laffitte list Jerzego Giedroycia z zaszczytną dla mnie propozycją. *Jest Pan* – pisał redaktor naczelny paryskiej „Kultury” – *dobrze zorientowany w problemie wielkiego sporu Polaków i Ukraińców przypisujących sobie wzajemnie wyłączne prawa do Lwowa. Czy mógłby Pan napisać dla mnie artykuł o tym, co się stało w 1945 roku z „polskim Lwowem”, tak mocno przez prawie sześć wieków wpisanym w historię Polski? Propozycja Jerzego Giedroycia stała się dla mnie wielką inspiracją i właściwie legła u podstaw Kresowej Atlantydy – tej serii wydawniczej o miejscowościach kresowych, której ukazało się dotychczas dwadzieścia tomów.*

Przyjmując propozycję, napisałem artykuł o dość katastroficznym czy też funeralno-futurystycznym tytule: *Pośmiertne życie polskiego Lwowa* („Zeszyty Historyczne”, Paryż 1994). Starałem się w nim wykazać, co się stało z dużą aglomeracją miejską, w której w krótkim czasie dokonano masowej wymiany mieszkańców. W pierwszych zdaniach tego artykułu stwierdziłem: *Wyrok polityków w Jałcie, potwierdzony w Poczdamie, był jednoznaczny – Polska miała kończyć się na Bugu w jego środkowym i górnym biegu z małą korektą na jej niekorzyść, bo przecież Lwów za Bugiem nie leży. Tu lord George Curzon, zaliczany w poczet sprawców polskich nieszczęść, nie miał nic do powiedzenia. Polscy obywatele Lwowa – miasta stanowiącego od czasów Kazimierza Wielkiego ważny ośrodek kultury polskiej, a na przełomie XIX i XX wieku duchowej i intelektualnej stolicy Polski – mieli być ewakuowani na zachód. I decyzję tę wyko-*

nano. Pozwolono im nawet zabrać niektóre ważne instytucje, jak Ossolineum, Panoramę Racławicką oraz mniejsze bądź większe artefakty kulturowe.

■ GIGANTYCZNA TRANSFUZJA

Dwadzieścia lat po ukazaniu się powyższego artykułu wygłosiłem 1 października 2015 roku w Auli Leopoldyńskiej na Uniwersytecie Wrocławskim chyba najważniejszy w swoim życiu impresyjny wykład, noszący tytuł *Z Kresów na Dolny Śląsk. W 70. rocznicę przeszczerpu nauki polskiej ze Lwowa do Wrocławia*. Wykładu wysłuchało m.in. kilkunastu rektorów polskich uczelni państwowych na Śląsku. Na tym wykładzie pozwoliłem sobie m.in. powiedzieć, że przed siedemdziesięciu siedmiu laty (w październiku 1938 roku) tu, w Auli Leopoldyńskiej – jednej z najpiękniejszych sal uniwersyteckich w Europie, siedziało dostojne grono profesorskie, a z tej głównej

mównicy w dniu inauguracji nowego roku akademickiego przemawiał niemiecki profesor. Słuchający byli Niemcami i wykładowca mówił po niemiecku. Jeśli ktoś wówczas w tej auli znał język polski, to na pewno nie odważyłby się mówić głośno po polsku. Było to wówczas miasto niemieckie – nazywało się Breslau. Był tu uniwersytet niemiecki i nosił imię pruskiego króla Fryderyka Wilhelma, a przed wejściem, na frontonie uniwersytetu wisały niemieckie flagi z hakenkreuzem.

W tym samym czasie 600 km stąd na wschód, w podobnie pięknej auli uniwersyteckiej, do dostojnego towarzystwa mowę inauguracyjną wygłaszał profesor w języku polskim. Miasto nazywało się Lwów, posiadało polski uniwersytet wysoko ceniony w Europie, noszący imię króla Jana Kazimierza. Mówca mówił po polsku i wszyscy w auli rozumieli ten język. Przed gmachem uniwersytetu wisały polskie flagi i stał pomnik Agenora Gołuchowskiego – polskiego arystokraty. Dziś, siedemdziesiąt siedem lat później, z tego miejsca w dniu inauguracji roku akademickiego Anno Domini 2015 mówi do Państwa polski profesor. Salę wypełnia dostojne grono profesorskie i polska publiczność.

W tym samym czasie 600 km stąd, w mieście, które nazywa się dziś Lwów, na podobnej inauguracji nowego roku akademickiego w ukraińskim uniwersytecie noszącym imię Iwana Franki przemawia ukraiński profesor. Mówi do wypełnionej sali, której słuchacze posługują się rodzinnym językiem – ukraińskim. Przed Uniwersytetem nie ma już pomnika Gołuchowskiego, a stoi pomnik Iwana Franki.

Co się stało, że siedemdziesiąt lat temu w tych samych salach, w tych samych miastach tylko oficjalnie inaczej się dziś nazywających są ludzie o innych korzeniach historycznych, posługujący się innym językiem, wyrosli w innej kulturze? Co się stało w 1945 roku w środku Europy?

■ WOJNY OD ZARANIA CYWILIZACJI

Otóż jeżeli przyjmiemy, że miasto ze swymi ulicami, placami, świątyniami, budynkami użyteczności publicznej i cmentarzami to korpus zewnętrzny dużego organizmu,

a wypełniający te ulice, place, świątynie, dworce i budynki ludzie to krew ożywiająca ten organizm, to w 1945 roku miastu, które nazywało się wówczas Breslau, przecięto żyły, dokonano gigantycznej transfuzji krwi, wymieniając krew niemiecką na polską. To samo stało się 600 km stąd na wschodzie, w polskim mieście Lwów. Miastu Lwów również przecięto żyły, wypompowano polską krew i w to miejsce wpuszczono krew ukraińską i rosyjską. Weszli tam ludzie o innej kulturze, innej obyczajowości i innej religii.

Co musiało się stać, aby takie zjawisko, w tak gigantycznej skali mogło mieć miejsce w środku starego kontynentu europejskiego? Otóż wiąże się to z trudną do wyobrażenia historią XX wieku, wieku dla wielu przekłętą, którego szczególnie pierwsza połowa nacechowana była wyjątkowym okrucieństwem w ludzkiej cywilizacji.

Ludzie zawsze ze sobą walczyli. Od zarania cywilizacji były na świecie wojny. Gdzieś w dawnym państwie Urartu, Babilonii, starożytnym Egipcie, Grecji czy Rzymie. I nadal ludzie toczą ze sobą wojny. W tej chwili giną ludzie w Syrii, Afganistanie czy na granicy rosyjsko-ukraińskiej. Ale to, co stało się w pierwszej połowie XX wieku, było horrendum. Wybuchły wówczas dwie wielkie światowe wojny, które pochłonęły dziesiątki milionów istnień ludzkich. Pierwsza wojna światowa, nazywana początkowo Wielką Wojną (bo nie przypuszczano, żeby mogła wybuchnąć jeszcze większa), pochłonęła ponad 20 milionów ludzi. A 20 lat po niej wybuchła jeszcze większa, która pochłonęła około 65 milionów ludzi, w czasie której stworzono fabryki do zabijania ludzi, palono ich w piecach, zakopywano żywcem, mordowano w łodowniach Sybiru. Ale oprócz tego, że ta wojna pochłonęła tyle ofiar, około 20 milionów ludzi, którzy tę wojnę przeżyli, musiało zmienić miejsce zamieszkania – stracili swoje domy, miasta i zostali przewiezieni do innych domów, w inne zakątki Europy, w inną scenografię kulturową. Miasta, które przez wieki były zanurzone w kulturze polskiej, w których kultura polska zostawiła trwałe, trudne do wymazania ślady, miasta takie jak choćby Lwów, Grodno czy Wilno (że wymienię tylko te trzy) w 1945 roku z dnia

na dzień przestały być polskie: Lwów stał się miastem ukraińskim, Grodno – białoruskim, Wilno – litewskim.

W tym samym czasie miasta, które przez wieki zanurzone były głęboko w historii Niemiec, gdzie kultura niemiecka została wyraźne ślady nie tylko w architekturze, takie jak Königsberg – wielkie miasto stworzone przez Krzyżaków, miasto sławnego uniwersytetu, miasto Immanuela Kanta z dnia na dzień stało się miastem czysto rosyjskim i nazywa się Kaliningrad, niczym nie przypomina dawnego, bo wyburzono w nim kamienice, świątynie i zamek, wznosząc w tym miejscu inne, w zupełnie innym stylu budynki. Miasta, które głęboko zanurzone były w kulturze niemieckiej, takie jak Breslau, Stettin, Grünberg, Oppeln czy mój Striegau, z dnia na dzień stały się miastami czysto polskimi i nazywają się Wrocław, Szczecin, Zielona Góra, Opole i Strzegom. To zjawisko o skali nieznanej w dotychczasowej historii nie zostało dostatecznie opisane w literaturze. W Polsce nie pojawił się wybitny epik, na miarę np. Marii Dąbrowskiej, która w *Nocach i dniach* pokazała na przykładzie rodziny Niechciców przemianę w Polsce w okresie między powstaniem styczniowym a wybuchem I wojny światowej, nie pojawiło się dzieło na miarę *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, które podobne zjawisko pokazało na przykładzie rodziny Bohatyrowiczów, czy dzieło podobne do *Sławy i chwały* Jarosława Iwaszkiewicza.

Obecnie, po tylu latach, nie zmieniłbym w powyższym wywodzie ani jednego zdania, więcej – z biegiem czasu udało mi się bardzo mocno poszerzyć faktografię tamtej wypowiedzi. Po zebraniu tysięcy relacji, fotografii i dokumentów rodzinnych oraz po penetracji archiwów i bibliotek naukowych mogłem opisać już ponad 90 miejscowości z dawnych Kresów, które spotkał ten sam los, co Lwów. W poszczególnych tomach *Kresowej Atlantydy* koncentrowałem uwagę na historii nie tylko dużych miast, takich jak Lwów, Wilno, Stanisławów, Tarnopol czy Grodno, ale i małych miasteczek, a nawet wsi, osad czy przysiółków.

W przygotowywanym do druku XXI tomie przedstawiam m.in. pośmiertne życie wsi Milatyn, która – w skali mini – podzieliła los metropolitalnego Lwowa. Milatynianie zostali wywiezieni, a właściwie przeszczepieni z ziemi lwowskiej na Dolny Śląsk, do wsi Pępice, która wcześniej nosiła niemiecką nazwę „Pampitz”. Stanowili małą (ok. 400-osobową) grupę, a więc kropelkę w morzu gigantycznej wędrowki obejmującej miliony ludzi różnych narodowości: Niemców, Polaków, Węgrów, Ukraińców, Słowaków czy też Łemków, którzy niespodziewanie wpadli w tryby wielkiej katastrofy historycznej i zostali w 1945 roku wygnani bądź musieli uciekać ze swych rodzinnych stron.

■ MILATYN – HISTORIA PRZESZCZEPU

Casus przeszczepu podlowskiej wsi Milatyn do Pępicy znam z autopsji wyjątkowo dobrze, bo dawni milatynianie po przesiedleniu byli przez ponad trzydzieści lat i nadal są moimi sąsiadami. Mieszkając wśród nich, poznałem ich mentalność, zdolności integracyjne i codzienne problemy, świadomość historyczną, obyczajowość i kulturę duchową. Dzięki spisaniu ich biografii udało mi się stworzyć swoiste studium socjologiczne przesiedlonej małej społeczności kresowej – a są tam wątki uniwersalne, charakterystyczne dla innych, nieproporcjonalnie większych grup ekspatriantów.

Milatyn to wieś położona na równinie, wśród soczystych łąk i lasów, w połowie drogi między Lwowem a Przemyślem. Otaczały ją mieszane narodowościowo wsie o różnorodnym brzmieniu lingwistycznym: Rodatycze, Wołczuchy, Dobrzany, Putiatycze, Dołhomościska, Milczyce, Bar.

Strukturę narodowościową podobną do wymienionych wyżej miejscowości miała podolska w *Nawiało nam burzę* Jarosława Abramowa-Newerlego (Warszawa 2000). Jest to epicka saga opowiadająca o kilku autentycznych polsko-ukraińskich rodzinach oraz opis świata, który istniał przez wieki i nagle, w ciągu niewielu lat, został unicestwiony. Newerly z precyzją fotografa ukazał, jak wielokulturowa i powikłana była codzienność w Galicji w czasach austriackich i w II

Rzeczypospolitej, przedstawił losy i wybory życiowe bohaterów swej powieści, zwłaszcza po 17 września 1939, gdy – jak to metaforycznie określił – na Podole *nawiąło nam burzę*. Jest w tej powieści głęboka analiza socjologiczno-psychologiczna i sugestywna diagnoza, że historia społeczności wsi Hadeńkowce wcale nie jest lokalna, ale ma zasięg uniwersalny. I to samo można odnieść do losów mieszkańców Milatyna w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu. Ich dzieje starałem się – podobnie jak Newerly – odtworzyć.

Do 1945 roku Milatyn był wsią liczącą około 200 numerów. Zamieszkiwało w nim ok. 1500 osób, połowę stanowili grekokatolicy – Rusini (ale mocno rodzinnie skoliżaceni z Polakami), stąd we wsi były dwie świątynie – cerkiew i ufundowany w 1908 roku przez Laurę z Dobrzańskich Pressen rzymskokatolicki kościół stojący na wzgórzu. Działała też w Milatynie austeria – żydowska karczma z zajazdem (jak z powieści Juliana Strykowskiego), prowadzona przez Arona Mandelsztama. Początek zagłady polskiego Milatyna był prozaiczny. W kwietniu 1945 wszystkich jego mieszkańców wezwano na plac przykościelny i odczytano im rozporządzenie: *Kto czuje się Polakiem i nie przyjmie obywatelstwa sowieckiego musi bezwzględnie opuścić wieś i udać się za San, bo tam jest w nowych granicach państwo polskie, a tu będzie Ukraińska Republika Socjalistyczna jako integralna część Związku Radzieckiego*. Wiadomość była paraliżująca. Jak to?! Zostawić swoje gospodarstwa, pola, sady, kościół, cmentarz z grobami najbliższych i iść na zachód, w nieznaną?! I to podobno jeszcze na ziemię germańską – tych odwiecznych polskich wrogów?! Nie może być! Mówiono o tym w emocjach w domu, podczas pracy w polu i zagrodzie, szeptano w karczmie i w drodze do kościoła. W końcu ustalono, że wszyscy zgromadzą się pod kościołem i zapytają księży, co robić. Po burzliwej dyskusji proboszcz Milatyna Jan Pielach oświadczył, że nie ma wyjścia, Polacy muszą wyjechać, tym bardziej że jeśli Sowietom nie wymuszają wyjazdu, banderowcy załatwią to po swojemu i ostatecznie. W tej atmosferze niepewności, zagrożenia i rozpaczy, ale też

trudnego do pohamowania gniewu, postanowiono: wyjeżdżamy jednocześnie, wszyscy razem. Starcy i kobiety z dziećmi oraz dobytkiem: krowami, trzodą chlewną i drobiem pojadą pociągiem, a mężczyźni z resztą dobytku wozami konnymi. Naiwnie sądzono, że uda się im jechać równolegle, nie tracąc się z oczu. W tym celu postanowiono dać kilka baniek samogonu maszyniście pociągu, aby nie jechał zbyt szybko i nie zostawił taboru wozów konnych za sobą.

13 maja 1945 z najbliższej Milatyna stacji kolejowej w Rodatyczach ruszył duży skład wagonowy ciągniony przez dwa parowozy, którym jechali nie tylko mieszkańcy Milatyna, ale także rodziny wysiedlone z innych sąsiadujących z Milatynem wsi. Część wagonów miała dachy, ale większość była odkryta. W jednym wagonie przeciętnie stłoczone były cztery rodziny, np. razem jechali: Tacjana Winiarzowa z synami Szymonem i Tadeuszem; Wiktoria Książczyna, Katarzyna Bucyk, Zofia Durkaczowa z matką Teklą i synem Janem; a w innym wagonie: Tarczyńscy, Winniccy i Stefania Kotarbakowa z rodziną. Pociąg ruszył trasą na Mościska, Przemyśl, Jarosław, Rzeszów, Tarnów i dalej, na zachód.

Po czym Kazimierz Milian, jeden z potomków przesiedleńców z Milatyna, napisał liczący kilkadziesiąt stron poemat *Milatyn*, wypełniony setkami szczegółowych informacji i utrzymany w stylistyce prostej, bezpretensjonalnej rymowanki.

■ TABOR RUSZA NA ZACHÓD

Równolegle z pociągiem ruszył gościńcem na zachód tabor około trzydziestu wozów zaprzężonych w pary koni. Na wozach o drewnianych kołach okutych żelaznymi rafami, oprócz obroku dla koni wieziono brony, pługi, widły, grabie, kosy, sieczkarnie, żarna – co kto miał i mógł zmieścić w wąskiej skrzyni pojazdu. Za niektórymi wozami uwiązano młode krowy, głównie jałówki, które nie zmieściły się w wagonach, a sądzono, że wytrzymają trud wielotygodniowej wędrówki z taborom. Woźnicami pojazdów byli młodzi milatynianie. Szpicę taboru tworzyli: Antoni Winiarz (1907–1968) i Szczepan Durkacz (1914–1995). Od 13 maja 1945 roku jechali dniami i nocami.

Tabor posuwał się wolno – musiał omijać zerwane mosty na rzekach i strumieniach, i z czasem stracił kontakt z pociągiem wiozącym rodziny i dobytek żywy. Chłopi szczególnie bacznie doglądali kondycji koni. Gdy za Tarnowem brakło owsa, w jednej ze wsi stoczyli swoistą potyczkę pod stertą siana, bo miejscowi gospodarze, nie chcąc na przednówku sprzedać obroku, bronili cepami, widłami i kosami dostępu do swoich stogów siana, na które łakomym okiem patrzyły głodne zwierzęta. Szczepanowi Durkaczowi z czasów, gdy jechał w szpicie taboru przesiedleńców, najbardziej utkwiła w pamięci stacja w Bytomiu, gdzie na torowiskach, w wagonach i na peronach koczowały tysiące ludzi: zmęczonych, zmarzniętych, brudnych, głodnych, zrozpaczonych. Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR) nie mógł sobie poradzić ze sprawnym rozmieszczeniem przesiedleńców i wygnańców ze wschodu.

Ruch repatriantów – pisał Antoni Krawiński, jeden z bardzo ofiarnych organizatorów akcji przesiedleńczej – *powinien być zmniejszony i powinien się odbywać w wagonach krytych, z piecykami, a przeladowywanie winno się odbywać natychmiast po przybyciu. W przeciwnym wypadku repatrianci są narażeni na choroby, a zwłaszcza kobiety i dzieci. Dłuższy pobyt na stacjach powoduje zanieczyszczenie torów kałem zwierzęcym i ludzkim do tego stopnia, że z trudnością można po nich chodzić, co może spowodować choroby zakaźne¹.*

Stefania Janczurowa (1920–2008), która z Milatyna jechała transportem kolejowym z dwójką drobnych dzieci, również zapamiętała dworzec w Bytomiu jako miejsce udręki i rozpacz. *W Bytomiu – wspominała – przeladowano nas do otwartych wagonów, a w tym czasie zaczął padać potworny deszcz i to przez kilka dni. Przemoczeni, zziębnięci, bez parasoli, o których nikt nie słyszał, bez odpowiednich płaszczy, ogrzewaliśmy się przy wychudzonych, porykujących z głodu krowach. Ja miałam dwoje drobnych dzieci, ale moja sąsiad-*

ka miała siedmioro, a Stefani Koterbakowej przyszło urodzić dziecko dosłownie na betonie peronu dworcowego. Jechaliśmy jak Cyganie. Pamiętam dzieci gromadami śpiące na workach, ciągle płaczące. To była jedna wielka bieda i rozpacz.

Przejmująca jest także opowieść Stefanii Felsztyńskiej (1914–2008), która jechała z Milatyna pociągiem, a jej mąż, Jan Felsztyński (1908–1985), właściciel warsztatu mechanicznego, taborem konnym. *Gdy pociąg ruszył – wspominała Felsztyńska – a byli w naszym wagonie Janczyszynowie i Nogowie, zaśpiewaliśmy „Serdeczna Matko”. Wszyscy zaczęli strasznie płakać, po prostu ryczeć – kobiety, mężczyźni, dzieci, a nawet krowa mojej teściowej, która z nami jechała. Prawie dwa tygodnie staliśmy w Bytomiu, a później w Kędzierzynie. A był bardzo mokry maj. Lało jak z cebra. Przemoczeni, okryci płachtami grzaliśmy się przy jakichś prymitywnych piecykach. Chodziliśmy po koniczynę dla krów. A mnie spotkało jeszcze straszne nieszczęście. W wagonie zrobiono powałę z desek, gdzie spały dzieci. Rano, zdejmując z tej półki swego synka, Józka, aby go nakarmić, tak nieszczęśliwie stanęłam, że podwinęła mi się noga i razem z dzieckiem runęłam na ziemię z wysokości prawie dwóch metrów. Gdy się podniosłam, zobaczyłam, że Józek ma otwarte złamanie nogi – kość wyszła na zewnątrz i przebiła skórę. Co tu robić? Nigdzie wokół lekarza. A tu otwarte złamanie! Dziecko płacze, deszcz leje. W desperacji wspólnie z innymi kobietami złożyłam tę nóżkę, usztywniłam ją jakimiś deszczułkami i owinęłam szmatami z podartej koszuli. I proszę sobie wyobrazić, że noga zrosła się równo. Józef Felsztyński był po wojnie pracownikiem zakładu energetycznego w Brzegu i nie miał śladu po tym złamaniu nogi.*

W Bytomiu transport stał kilka tygodni, a później zatrzymał się w Kędzierzynie. Szymon Winiarz (1930–2006), późniejszy twórca Schroniska dla Bezdomnych im. Brata Alberta w Pepicach, który miał wówczas 15 lat, wspominał, że w Kędzierzynie ludzie zaczęli się buntować. Całymi dniami siąpił deszcz. Chodzono po okolicznych wsiach, ale nikt nie mógł się zdecydować na osiedlenie. Wszystko wydawało się obce. We wsiach byli

¹ Zob. szerzej: G. Hryciuk, *Przesiedleńcy. Wielka epopeja Polaków 1945-1946*, Kraków 2023, s. 490-491. Zob. też: St. S. Nicieja, *Odyseja brzeskich Kresowian. Próba rejestracji i opisanie zjawiska*, „Brzeski Rocznik Zamkowy” 2020, nr 1, s. 9-51. Tam zapis kilkudziesięciu relacji przesiedleńców z Kresów i ich biogramy.

jeszcze niemieccy bauerzy. Niektórzy więc chcieli wracać na wschód, głosząc, że niech się dzieje co chce byle w domu. Inni domagali się jazdy jak najdalej na zachód. Jedni odczepiali, drudzy doczepiali wagony. W końcu milatynianie postanowili osiąść na Dolnym Śląsku we wsi Pęcice. Tam też ostatecznie dotarł tabor konny ze Szczepanem Durkaczem i Antonim Winiarzem na czele.

■ NIEMCY PĘPICCY - CZAS POKOJU, WOJNY, UCIECZKI, WYPĘDZENIA I NOWEJ STABILIZACJI

Kiedy spisywałem biografie osiadłych w Pęcicach „taborytów” z Milatyna, zaczęła dręczyć mnie zagadka: kim byli i jak nazywali się przedwojenni niemieccy właściciele domów, które po ich ucieczce przed Armią Czerwoną zajęli Polacy ze wschodu.

Los mi sprzyjał, bo już w kilka miesięcy po moim osiedleniu się w Pęcicach przed dawną pastorówkę zajechał samochód z niemiecką rejestracją, a jego właścicielem okazał się Horst Dierschke – syn bauera z Pęcic, jako dziecko uczęszczający do przedszkola urządzonego w czasach hitlerowskich w tej pastorówce, gdy Pastora Scholza usunięto z Pęcic. Dierschke – działacz Briegauer Landsmannschaft (Ziomkostwo Brzeżan, byłych mieszkańców ziemi brzeskiej), słysząc o moich planach przywrócenia pastorówki do dawnego blasku i odtworzenia historii tego domu, postanowił mi pomóc. Rozpuścił po całych Niemczech wici w poszukiwaniu potomków dawnych mieszkańców Pęcic, podając mój adres do korespondencji. I nagle spłynęła na mnie lawina listów ze zdjęciami i wspomnieniami.

Najcenniejsze były listy od Gottharda Sauermanna z miejscowości Eisdorf (Bawaria), Ingrid Kronenberger z Solingen (Nadrenia Północna-Westfalia) oraz dwa – wręcz na wagę złota – od Marie-Luizy Jentsch z Tecklenburga, wnuczki Ottona Pantkego, jednego z najbogatszych gospodarzy pęcickich, a także listy od Eriki Lang z Hanoweru, 83-letniej wówczas córki pastora Richarda Scholza, urodzonej w moim obecnie domu. Rodziny Pantków i Scholzów mieszkały w sąsiedztwie i były ze sobą zaprzyjaźnione.

Nie miejsce tu, aby pisać o wszystkich niemieckich mieszkańcach Pęcic. Skoncentruję uwagę tylko na rodzinie pastora Richarda Scholza, opierając się na dokumentach oraz wspomnieniach jego córki. Gdybym w latach 1994–1996 nie nawiązał z nią kontaktu, biografię pastora Scholza pokryłby mrok niepamięci, co zubożyłoby historię ludzi, którzy w następstwie II wojny światowej doświadczyli nieszczęścia wygnania lub przesiedlenia.

■ PASTOR SCHOLZ

Oto, z konieczności krótki, rys biograficzny jednego z niemieckich mieszkańców Dolnego Śląska.

Richard Bartholomäus Scholz urodził się w miejscowości Karlsmarkt (Karłowice) 24 sierpnia 1873. Był synem nauczyciela i zarazem organisty Karola Scholza i Zuzanny z domu Ferster. Miał staranne wykształcenie, wyniesione z gimnazjum w Oławie i z Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma we Wrocławiu. Po studiach teologicznych i historycznych został wikariuszem we Wrocławiu, a 1 października 1903 roku powierzono mu obowiązki pastora w Pęcicach.

Jego poprzednikiem w tej ewangelickiej parafii był w latach 1870–1903 pochodzący z Bielawy (Langenbielau) na Dolnym Śląsku Herman Julius Menzel, również absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, w czasie studiów uczęszczający przez pewien czas na seminarium historyczne słynnego, charyzmatycznego znawcy antyku, autora 6-tomowego monumentalnego dzieła o Cesarstwie Rzymskim – Theodora Mommsena (1817–1903). Fakt ten jest o tyle istotny, że Menzel był zafascynowany twórczością Mommsena (znanego w całej Europie pierwszego niemieckiego laureata Nagrody Nobla) i uważał go za swego mistrza. Mommsen był pruskim nacionalistą oraz wielbicielem króla Prus Fryderyka II, zwanego „Wielkim” i dlatego (w czasie pracy na Uniwersytecie Wrocławskim, ale też i później, gdy przeniósł się już do Berlina) odwiedzał miejscowość Mollwitz, gdzie w 1741 roku armia pruska pod dowództwem Fryderyka Wielkiego rozbiła Austriaków, przyłączając Dolny Śląsk – z Wrocławiem i Brzegiem – do Niemiec. Na polu małujowickiej bitwy stał do 1945 roku

monument informujący o tym wydarzeniu, a przed ratuszem w Brzegu pomnik zwycięskiego króla Prus.

Małujowice to wieś sąsiadująca z Pęciami. Podczas jednej z uroczystości pod tamtejszym monumentem pastor Menzel zaprosił swego dawnego profesora na obiad do pęcickiej pastorówki i zaproszenie zostało przyjęte.

Gdy w 1903 roku pastor Scholz obejmował swój urząd w Pęcicach, świat obiegła wiadomość o śmierci 86-letniego noblisty. Wówczas obaj pastory – ustępujący Menzel i obejmujący parafię Scholz – odprawili w Pęcicach uroczystą mszę w intencji Mommsena. Jak wspominała córka Scholza – Erika Lange, w rodzinnej legendzie zawsze szczycono się wspomnieniem, że w pęcickiej pastorówce gościł niemiecki noblista.

W 1904 roku Richard Scholz ożenił się z Gertrudą Schwarz i miał z nią troje dzieci, urodzonych w Pęcicach: Reinholda, Elisabeth i Erikę. W czasie I wojny światowej był kapłanem wojskowym w Poznaniu i na Pomorzu. Po zakończeniu wojny wrócił do Pęcic, które – czego dał liczne dowody – szczerze pokochał. Spędził tu najszczęśliwsze lata swego życia. Założył przy pastorówce duży ogród warzywny i sad. Był człowiekiem wielkiej kultury osobistej, miłośnikiem historii i sztuki oraz namiętnym zbieraczem pamiątek. W wolnych chwilach przesiadywał w archiwach brzeskich, a czasem na dłużej wypuszczał się do bibliotek wrocławskich i opolskich. Skrupulatnie zbierał wszelkie informacje o swojej małej ojczyźnie – okolicach Pęcic. Z czasem w swojej pastorówce zgromadził bardzo cenny zbiór książek i fotografii, które po II wojnie światowej zostały niestety rozproszone i zniszczone. W 1926 roku wydał powieść zatytułowaną *Brieger Heimatroman* (*Brzeska powieść o rodzinnym mieście*), a trzy lata później swą pierwszą książkę historyczną o dziejach Pęcic – *Ortsgeschichte von Pampitz*. W 1933 roku, tuż przed usunięciem go z probostwa w Pęcicach, Scholz szczęśliwie doprowadził do zakończenia pracy konserwatorów z Brzegu i Wrocławia, restaurujących freski z 1497 roku, spośród których największy (czterometrowej wysokości) przedstawiał postać św. Krzysztofa z Dzieciątkiem na ramieniu. Freski te mogły mieć podobną

wartość jak te zachowane do dziś w pobliskim kościele w Małujowicach i uznawane za fenomen malarstwa sakralnego o europejskim wymiarze. Niestety, w latach sześćdziesiątych XX wieku, gdy remontowano pęcicki kościół, zamalowano znajdujące się w nim średniowieczne malowidła, nie doceniając ich wartości. Zniknęły również rzeźby z empory organowej i ołtarza, a zabytkowe organy z 1866 roku wywieziono w nieznanym kierunku.

Pastor Scholz stracił swą ukochaną pastorówkę w Pęcicach w 1933 roku. Po dojściu Hitlera do władzy zlikwidowano w Niemczech wiele probostw, w tym i to w Pęcicach. Kościół stał się kościołem filialnym parafii brzeskiej, a w pastorówce urządzono najpierw przedszkole, a później szkołę. Scholz zmuszony był przenieść się z rodziną do Łukowic (Laugwitz), odległych od Pęcic o 4 kilometry. *Zamiana pastorówki na przedszkole – wspominała córka pastora, Erika Lange – i usunięcie ojca po 30 latach posługi w Pęcicach, pielęgnacji tamtejszego ogrodu i wielkiej dbałości o probostwo było dla niego wstrząsem. Nie mógł się z tym pogodzić². Co prawda pastorówka w Łukowicach była o wiele większa i też miała imponującą bibliotekę, ale miała także jeszcze innych lokatorów, była szara, koszarowa i bez tak pięknego otoczenia jak ta w Pęcicach. Scholz w Łukowicach pisał książki i pracował do emerytury, na którą przeszedł w 1943 roku. Był to już czas, gdy Niemcy przegrywały wojnę i prawie wszystko było regramentowane. Szedł dla Niemców czas biedy. Scholz jako emeryt opuścił z żoną Łukowice i dostał pokój w czteropokojowym domu w Heidau (obecnie Gać) pod Oławą. Miał 72 lata, gdy front zbliżał się do ziemi brzeskiej i oławskiej.*

Żyjących dotychczas dość spokojnie Niemców ogarnęła potworna panika przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Scholz w apokaliptycznym wymiarze widział tłumy swych rodaków – uciekinierów z okolicznych wsi. Pierwsza grupa uciekinierów z Pęcic i Łukowic wyruszyła już 23 stycznia 1945. Relacje, które zebrali Rainer Bruchmann i Manfred Kirchner³ – niemieccy autorzy

² List Eriki Lange z Hanoweru do autora z 28 marca 1995.

³ R. Bruchmann, M. Kirchner, *Laugwitz. Ein Dorf in Schlesien*,



Scholz widział te dantejskie sceny, śmierć ludzi i unicestwiane wtedy zabytki, które kiedyś z takim pietyzmem opisywał. Zmarł 15 marca 1945, w czasie dłużącego się niezwykle mroźnego przedwiośnia. Ponieważ w warunkach wojennego chaosu nie było z czego zrobić trumny (deski zużyto na opał), ciało zmarłego włożono

obszernej, bogato ilustrowanej monografii Łukowic – wiernie ukazują dramat uciekinierów. Ten pierwszy dzień ich ucieczki był bardzo mroźny, wręcz lodowaty. Starsi mieszkańcy Pępic i Łukowic, aby nie zamrznąć w czasie wędrówki, owijali się pierzynami. Kobiety (bo mężczyźni byli na froncie) na małych wózkach ciągnęły skromny dobytek. Ta kawalkada przemieszczała się w kierunku Strzelina, a później Świdnicy. Skostniałe trupy zostawiano po drodze – w rowach czy pod drzewami – gdyż w zamrzniętej ziemi nie sposób było kopać groby, a i strach zaślepił uciekinierów bojących się spotkania z Rosjanami.

W tym samym mniej więcej czasie nastąpiła ewakuacja obozu pracy w Pępicach, który był filią kacetu w Gross-Rosen. Więziono w nim początkowo ok. 1000 Żydów, później Polaków i rosyjskich jeńców, zatrudnionych przy niemieckim lotnisku Pępice-Skarbimierz (54 wielkie ziemno-betonowe hangary lotnicze i wojskowe oraz szerokie pasy startowe), a po powstaniu warszawskim około 600 wygnańców z Warszawy⁴. Więźniów tych na początku 1945 roku poprowadzono pod eskortą do Gross-Rosen w tzw. „marszu śmierci”. W następnych tygodniach na zachód wędrowały kolejne fale niemieckich uchodźców. Przed zbliżającym się frontem płonął Festung Brieg.

do wąskiej, jednodrzwiowej szafy i furmanką przewieziono z Heidau do Łukowic (8 km). Pochowano pastora Scholza przy kościele, w grobowcu jego poprzednika na łukowickiej parafii – pastora Oskara Hamanna (1869–1936). W tych samych dniach syn pastora Scholza – Reinhold został zastrzelony przez Rosjan w Lwówku Śląskim (Löwenberg), gdzie był kierownikiem zakładu gazowniczo-elektryfikacyjnego. Żona pastora – Gertruda, do 1946 roku przebywała w Heidau (Gać) pod Oławą, skąd wyjechała do Bad Gandersheim.

Wojna zniszczyła rodzinę Scholzów i cały dorobek ich życia. Największą stratą rzeczową była biblioteka pastora, z której książki okoliczni mieszkańcy wykorzystywali po wojnie na rozpałkę. Grób pastora Scholza również został zniszczony. Mimo poszukiwań, nie odnalazłem go na przykościelnym cmentarzu. Znalazłem natomiast w uniwersyteckich bibliotekach jego wartościowe książki⁵. Dawna pastorówka Scholza jest obecnie miejscem mojego zamieszkania, a potomkowie dawnych milatyńskich „taborytów” osiedli w innych poniemieckich domach. Historie przesiedleńców obu narodowości – polskich i niemieckich – są podobnie dramatyczne.

Stanisław Sławomir Nicieja

Husum 2006.

4 St. S. Nicieja, *Katorżnicze obozy w Pępicach*, „Gazeta Brzeska”, 2 VI 1995.

5 Biogram Richarda Scholza opracowałem na podstawie relacji i dokumentów otrzymanych od jego córki – Eriki Lange z Hanoweru oraz wnuczki – Karin Jensen z Tørring w Dani (odwiedziła Pępice w 1999 roku); korespondencja z lat 1994–1996, 1999.